

Kronika tygodniowa.

W starożytnym Rzymie, prawie dwa tysiące lat temu, więc w czasach, których nawet najstarsi z pośród nas nie pamiętają, odbywały się niejednokrotnie na ulicach miasta okrzyki „*panem et circenses*”. Dziś stosunki w świecie się zmieniły przynajmniej o tyle, iż woła się wprawdzie o chleb, miejsce zaś igrzysk zajęła sprawa pokoju, po prawie już cztery lata trwającej wojnie.

Wolamy więc na różne głosy: „Chleba i pokoju”, a le, jak dotąd przynajmniej, głos nasz jest tylko głosem wołającego na pustyni.

Że wojna już się nam przejadła i, jak to powiadają, wylazi nam już bokiem i dziurami na łokciach, o tem nie ma dwu zdań. niechaj nikt się więc nie dziwi, że i kronikarz, wychodząc z tego samego punktu widzenia, co i reszta jego towarzyszy niedoli podnosi ten sam okrzyk, pierwszeństwo oddając naturalnie codziennemu chlebowi, o który łatwiej się postarać niż o pokój. Czyni to zaś i dlatego, ponieważ chleb jest niezbędnym dla każdego śmiertelnika artykułem spożywczym, bez którego obejść się trudno, by zaspokoić głód, uznany już przez starożytnych filozofów, uchodzących przeważnie za bardzo mądrych ludzi za złego doradcę. Zdrowy duch mieszka w zdrowym ciele, a ciało wtedy jest zdrowe, jeśli sobie należyście podjadło, chleb zaś właśnie jest tym artykułem, który w tak ciężkich zwłaszcza, jak obecne, czasach najważniejszą odgrywa przy tem rolę. Brak chleba może mieć i nawet musi mieć bardzo przykre następstwa, o czem powinni pamiętać ci, którzy nami kierują.

Wymyślono wprawdzie między innymi i tak zwaną Centralę obrotu zbożem, mającą za zadanie równomierne zaopatrzenie ludności w zboże, raczej mąkę, pokazuje się przecież, że jest to maszyna bardzo źle funkcjonująca, wydająca ze siebie tylko nieprzyjemne zgrzyty, zwłaszcza, że kierownictwo objęli ludzie, nie mający widocznie nawet pojęcia o tem, do czego ich powołano. Sprawę tak ważną za pożytkiem dla obu stron, to jest państwa, mającego dbać o dobro jednostek, jego pieczy powierzonych, jakoteż ogółu, chcącego żyć, więc muszącego jeść, powinno się traktować po obywatelsku, a nie według jakichś tam biurokratycznych teorii, nie znajdujących praktycznego zastosowania i wywołujących tylko niepotrzebny rozdziewiek.

Należałoby się było spodziewać, że Galicya, jako kraj wybitnie rolniczy, powinna produkować tyle zboża, by go bodaj na jej własne potrzeby wystarczyło, ale też z drugiej strony powinno się było pamiętać, że kraj ten przez wojnę najwięcej ucierpiał, więc też zasługuje na najdalej idące uwzględnienie i bo nigdzie może nie okazuje się, z powodu wojny, taki brak rąk do pracy i innych niezbędnych do niej warunków, co właśnie tutaj.

Tymczasem panowie przy zielonym stoliku o pierwszym punkcie pamiętali, o drugim zaś zapomnieli lub nie chcieli wiedzieć, więc orzekli, że Galicya powinna zaspokoić nie tylko swe własne potrzeby, ale zadość uczynić i wymaganiom sąsiadów, tak, jak to było dawniej, w owych lepszych czasach, kiedy o wojnie nikomu się ani nie śniło. Przeprowadzano też rekwizycje u nas z daleko większą ścisłością, niż gdziekolwiek, trzymając się ściśle tego, co na ślepo, nie licząc się ze stosunkami i widocznie nie znając ich nawet, uchwalono w teorii. Tyle być powinno i tyle też być musi — oto zasada, którą się przy tem kierowano. Pozatem dopuszczano do współpracownictwa, w roli pośredników, różne osobniki, które przy tym ogniu chciały przede wszystkim upiec pieczeń dla siebie. Czego nie zdziałali niefachowi kierownicy, tego dokonali pośrednicy, kierujący się nie sumieniem, ale jedynie własnym interesem.

Wedle owych teoretycznych obliczeń ustalono też cenę za zboże, w obecnych warunkach tak śmiesznie niską, iż producent, chcąc swój przydział na rzecz ogółu sumiennie Centrali dostarczyć, musi dołożyć z własnej kieszeni. I nie można się też wobec tego dziwić, że ten i ów rolnik część zapasów chowa na czarną godzinę, by nie być potem zmuszonym, gdy sam się znajdzie w potrzebie, kupować to, za co zapłacono mu, dajmy na to, po czterdzieści koron za cetnar metryczny, po cenie cztero, a nawet pięciokrotnej. Tem tłumaczyć się musi narzekania, że producenci galicyjscy ociągają się z odstawą przydzielonego im kontyngentu, który bardzo ładnie wygląda, ale tylko w teorii i na papierze, a nie w rzeczywistości.

Przypuśćmy jednak, że każdy producent wywiązał się należycie ze swego zadania i że panowie pośrednicy żadnego na tem nie zrobili interesu. Zboże dostało się do magazynów Centrali i nie uległo tam zepsuciu, ale rozdzielone zostało, jak było zaznaczone

„równomiernie“ między ogół. Należałoby się więc spodziewać, że Galicya będzie na równi z innymi uwzględniona, zwłaszcza zaś miasta, jako wielkie środowiska ludności, nie mogące żyć z własnej rolnej produkcji, o której stoją daleko, zmuszonej przecież w jakiś sposób głód swój zaspokoić. Dzieje się przecież inaczej. Galicyjskie zboże jedzie poza granice, na zaspokojenie potrzeb innych krajów koronnych i nieraz się zdarza, że dopiero stamtąd, gdy tu u nas już bieda, jak to mówią „aż trzeszczy“ wraca z powrotem skąd wyszło. Ile zaś w międzyczasie zepsuje się papieru na różne wyjaśnienia, przypomnienia i tym podobne urzędowe „kawałki“, o tem zwykły śmiertelnik nie ma nawet pojęcia. A papier teraz przecież taki drogi!

Centrala więc zbożowa ponosi głównie i jedynie winę iż rozdział zboża i mąki jest w samej rzeczy nierównomierny, co jest jasnym dowodem, że nie odpowiada przeznaczeniu i wobec tego nie ma racji bytu. Gdyby dozwolony był wolny obrót zbożem, z pewnością byłoby daleko lepiej, nie byłoby pokątnej sprzedaży i ceny nie dochodziłyby do takiego, jak obecnie absurd. Ponadto, ponieważ kosztła bliższą jest ciąża, niż przykład kamizelka, powinno się przedewszystkiem myśleć o zaspokojeniu własnych potrzeb, a dopiero istotną nadwyżkę wywozić między obcych, czyli, że dla obrotu zbożem granice każdego kraju powinny być do pewnego stopnia zamknięte.

Jak z powyższego wynika, nasza władza aprowizacyjna, a tą jest magistrat, będąc zdana na łaskę i niełaskę Centrali, winy w tym kierunku nie ponosi, chyba tylko o tyle, że nie umie, czy nie chce upomnieć się w swoim czasie o to, co się nam należy. Takie, jak obecnie, życie z dnia na dzień, gdy raz „kapnie“ nam jeden, raz znów dwa wagony mąki, to nie życie, ale marna wegetacja, a obietnice, że „taki a taki kontyngent mąki jest już w drodze“, nie wystarczają, zwłaszcza, że nieraz się już zdarzało, że „przez pomyłkę“ cały transport zajechał zupełnie gdzieś indziej. Inni jedli, a my lizałismy tymczasem łapę, czekając na lepsze czasy i kontentując się na razie kartkami chlebowo-mącznymi.

Przyjmijmy jednak, że Centrala funkcjonuje bez zarzutu i dostarcza dla Krakowa mąkę, wprawdzie nie w zbytnej obfitości, ale w ilości takiej, jaka jest konieczna potrzebna dla zaspokojenia apetytów ludności. Mąka nadeszła, magistrat rozdzielił ją sumiennie między piekarzy. Cóż się jednak dzieje?... Niektórzy z nich zużywają rzeczywiście cały przydział na wypiek chleba, jak się należy, nie brak przecież takich, którzy część chowają na „czarną godzinę“, to jest w tym celu, by potem sprzedać pokątnie mąkę po wyrubowanych cenach, lub też w ten sam sposób wypiekają białe bułeczki i pozbywają je po siedmdziesiąt i ośmdziesiąt halerczy za sztukę. Ludzi o wybrednym smaku jest dość, nie żałują też pieniędzy, by sprawić przyjemność swemu podniebieniu, ale na tem cierpi ogół, nie mogący sobie na taki zbytek pozwolić, a ukrócony właśnie o tę ilość, którą tamci zjedli z takim apetytem. Powiada się wprawdzie, że te białe bułeczki wypieka się z mąki, nadchodzącej z Królestwa Polskiego, nie jest tak przecież w rzeczywistości.

Co wszystko razem i każde z osobna, punkt po punkcie rozważywszy, musimy przyznać, że mają rację ci, którzy upominają się o chleb codzienny, nie dzieje się bowiem tak, jak się dziać powinno. Ci zaś, którzy powołani są do tego, by w tym kierunku przestrzegać porządku, niechaj dołożą starań, by złemu zaradzić, a wszystko będzie jak się patrzy. Jeśli chleba będzie dość, przynajmniej zaś tyle, ile go potrzeba, jakoś łatwiej znieść się inne braki.

Upominanie się o to, co się nam należy, jest wskazane, nie uważam jednak za stosowne łączenie go z bicem szyb, gdyż to tylko napędza szkiarom pieniądze do kieszeni, a wytwarza coraz cięższą atmosferę!

Obok Centrali zbożowej istnieją też i jej siostrzyczki: Centrala dla obrotu bydłem i Centrala dla rozdziału paszy, zostające ze sobą w najściślejszym związku, jak bowiem zapewne każdemu wiadomo i było także jeść musi, jeśli zaś nie dostanie, zdycha poprostu z głodu. Te dwie Centrale fungują widocznie także nienależycie, skoro Kraków, równocześnie z brakiem chleba, znalazł się w tem miłym położeniu, iż braku mu mięsa i tłuszczy. Temu ostatniemu brakowi starano się zaradzić i w ostatnim tygodniu, zamiast części należnej mąki, wydawano świeczki ale... niefowe. Gdyby to były bodaj starodawne łojówki, możnaby ich od biedy użyć do omasty...

Do kwestyi mięsnej powrócę w swoim czasie, na razie zaznaczam, że z chwilą wejścia w życie nowej taryfy maksymalnej, według której ceny mięsa i tłuszczy poszły w górę, stosunki się poprawiły i kogo stać na to, może się bawić w mięsożercę. Zapas byłby galicyjskiego, z którym dzieje się tak samo: jak ze zbożem, nie wystarczy jednak podobno na długo, wobec czego należy być przygotowanym na wcześniejsze na-

wet rozpoczęcie się wielkiego postu niż to zapowiada kalendarz.

Obecnie mamy karnawał, ale nikt go nie czuje, chyba tylko o tyle, że zwałił się na nas w samej rzeczy kar nawał i to. zdaje się, nie tylko za winy już popełnione, ale także i za te, które dopiero mamy zamiar popełnić. Z powodu mankamentów mączno-tłuszczowych o paczkach nikt nawet nie myśli, odpadły też wszelkie zabawy z tańcami i bez nich, bo komuż to dziś w głowie?... Kontent człowiek, że żyje i prosi Boga, by nie było jeszcze gorzej, niż obecnie.

Gdyby żyła bodaj pani de Thebes, byłby się w tym czasie pojawił jej kalendarz z przepowiedniami, czego się można spodziewać, co jednak niekoniecznie musi się spełnić. Niestety, nie została jasnowidzącej spadkobierczyni. Nie odzywa się też żadna babka ze Śląska, choć już raz, przed laty, w błąd nas wprowadziła, nie odzywają się, jak na złość, także in i, choćby nawet „krajowego wyrobu“ prorocy, wobec czego jesteśmy, niczem tabaka w rogu i w żaden sposób i: możemy powiedzieć, kiedy się to wszystko skończy, czyli, kiedy będziemy mogli mówić już na seryo o pokoju, który ma być tematem drugiej części niniejszej kroniki.

O pokoju mówi się zaś i pisze coraz głośnie i energiczniej, choć z drugiej znów strony przyznać należy, że manifestacja pokojowa, urządzona w Krakowie w ubiegłą niedzielę, wypadła bardzo słabo. Jeżeli w mieście naszym tyłu jest tylko i w tym wieku zwolenników pokoju, jak ta gromadka, która się wówczas, zamiast pójść na tradycyjne flaki, zebrała na krakowskim rynku, to widoczne, że wojna nie dała się nam dotąd zbyttnie we znaki, więc może jeszcze trwać, choćby nawet tak długo, jak sobie tego życzą Anglicy i Amerykanie.

Rozmawiałem o tem z jednym znanym obywatelem z południowych dzielnic Krakowa i wyraziłem zdziwienie, że współwyznawców jego tak mało wówczas wzięło udział w zgromadzeniu i pochodzie.

Pogladził brodę, poprawił kapelusz i rzekł:

— Co ja mam z tego, mój panie, jeżeli się wojna skończy rychło? Co ja wówczas zrobię z moimi towarami?... Pan wie chyba, bo pisał pan o tem, jak one spadają w cenie na łeb i na szyję, alekroć się tylko zacznie mówić na seryo o pokoju.

Musieliśmy mu przyznać rację, stawiając się w położeniu owego nowoczesnego Józefa, który idąc w śady swego współwyznawcy, magazynował towary, by potem spichrze otworzyć dla tych, którzy lepiej zapłacą. Ów biblijny Józef gromadził tylko zboże, by Egipcyan uchronić od głodowej śmierci i to mu się najzupełniej udało. Obsypał go też Faraon zaszczytami, zamianował nawet radcą, a pani Putyfarowa zadziła go swymi względami. Jego następcy i naśladowcy o zaszczyty bynajmniej nie dbają, względami płci nadobnej (choć, co prawda, nie wszyscy!) gardzą, pamiętając tylko o swej kieszeni i interesie.

To też słowa generała Hoffmanna, wypowiedziane w Brześciu Litewskim, lepiej na nich podziałały, niż na niejednego ciężko chorego znane kropla Hoffmanna, zwiastują bowiem nie zbliżający się pokój, ale dalsze trwanie wojny.

Pacyfiści natomiast są innego zdania. Wynurzenia pana generała nazywają poprostu „opowieściami Hoffmanna“ i dodają:

— Niech on sobie mówi, co mu się żywnie podobą, a pokój musi być i to zaraz!

Czy spełnią się nadzieje jednych, czy drugich, tego przewidzieć dziś nie można, zwłaszcza, że wiadomości nadchodzące z Brześcia, są i skąpe i bardzo niejasne.

To ważniejsze, czy przy tym ogniu upiecze się dla nas pieczeń, czy też nie. Różni ludzie różnie mówią, większość wychodzi z tego założenia, że kucharz, który się tą sprawą z naszej strony zająć powinien, nie wywiąże się w sposób należyty ze swego zadania. Zdolności jego kulinarno polityczne pozostawiają wiele do życzenia, gdyż wiadomo, że zabrał się do warzenia rosół „bez selera“, a taki, jak to przyzna każda gospodyni, jest mdły i bez smaku.

Dałbyśmy wiele, by już dziś wiedzieć, czy z owej spodziewanej pieczeni nie zostanie dla nas sama jeno kość, bo to na Litwę ma kto i uuy apetyt, Galicję z wyjątkiem Oświęcimskiego i Zatorskiego, obiecano Ukrainie a część Królestwa Polskiego ma być podobno konieczną potrzebną celem „gospodarczego zabezpieczenia Prus“... Co razem wzięwszy, dochodzimy do wniosku, że w rezultacie dostanie nam się figa. Owoc ten jest dziś rzadkością, trzeba więc i z tego się cieszyć, jeśli nam ona bodaj przypadnie w udziale. Tyle już zebraliśmy fig różnego rodzaju, że jedna mniej lub więcej nie powinna zupełnie zrobić różnicy.

Zresztą, kto to może dziś wiedzieć, co będzie jutro, za tydzień, miesiąc lub rok?... Teraz dzieją się przecież rzeczy, o których nawet i filozof m się nie śniło, wobec czego, nie chcąc być fałszywym prorokiem, wolę nie uprzedzać wypadków.